

## GABINET LUSTER

Zatrzymuję się przed gabinetem dyrektora, gdzie sekretarka mówi mi, że mama właśnie rozmawia przez telefon. No i dobrze. Sama łatwiej znajdę odpowiednią parę dżinsów. Zmierzam do działu „Młode damy”. (Nic dziwnego, że nie robią kasy. Która z nas by chciała, żeby zwracano się do niej per „Młoda damo”?)

Potrzebuję rozmiaru 38, choć sama przed sobą nie chcę się do tego przyznać. Wszystkie moje ciuchy są w rozmiarze 36 albo w ogóle dziecięcym. Patrzę na swoje stopy wielkości kajaka i mokre, szkaradne kostki. Dziewczęta w tym wieku już chyba przestają rosnać.

Gdy byłam w szóstej klasie, mama kupiła mi górę książek o dojrzewaniu i dorastaniu, żebym doceniła „piękną”, „naturalną” i „cudowną” przemianę, przez którą przechodzę. Gówno prawda. Ona cały czas rozpacza, że siwieje, opada jej tyłek i robią się zmarszczki, ale ja mam być wdzięczna za pryszczatą twarz, włosy wyrastające zupełnie nie tam, gdzie trzeba, i stopy, które co noc stają się większe o centymetr. Kupa gówna to wszystko razem.

Nieważne, co przymierzę, i tak będę wyglądała okropnie. Effertowi udało się zgromadzić wyłącznie kompletnie niemodne ciuchy, takie, jakie babcie kupują wnuczkom na urodziny. To cmentarz mody. Żeby chociaż pasowały, tłumaczę sobie. Jedną parę chyba dam radę wybrać. Rozglądam się. Ani śladu mamy. Niosę trzy pary najmniej kłujących w oczy dżinsów do przymierzalni. Prócz mnie nie ma w niej nikogo. Pierwsza para jest o wiele za mała — nie mogę nawet przecisnąć tyłka. Drugich w ogóle nie biorę do ręki; są jeszcze mniejsze. Trzecie to ogromne portasy. Właśnie takich szukałam.

Pędzę do trzyczęściowego lustra. Jeśli włożę obszerną bluzę, nikt nie pozna, że to dżinsy Efferta. Ciągłe nie ma mamy. Ustawiam lustro tak, by widzieć odbicie odbić, całe kilometry mnie i moich nowych dżinsów. Zakładam włosy za uszy. Powinnam była umyć głowę. Mam brudną twarz. Nachylam się do lustra. Oczy, oczy, ławice oczu gapią się na mnie. Czy jestem tam gdzieś? Tysiąc oczu mruga. Nie umalowałam się, pod oczami mam ciemne kręgi. Składałam boczne skrzydła lustra, wtapiając się w zwierciadło i odcinając resztę sklepu.

Moja twarz zmienia się w szkic Picassa, ciało rozpada się na sześciany. Widziałam kiedyś film, w którym kobieta została poparzona w osiemdziesięciu procentach i musiano zmyć całą martwą skórę. Owinęli ją w bandaże, podawali środki odurzające w oczekiwaniu na przeszczep skóry. W istocie obszyli ją nową skórą.

Przyciskam szorstkie usta do lustra. Tysiąc krwawiących, pokrytych strupami warg napiera na mnie. Jak tamta kobieta czuła się w zupełnie nowej skórze? Czy była niezwykle uwrażliwiona, jak dziecko, czy też odrętwiała, bez zakończeń nerwowych, jakby poruszała się w skórzanej torbie? Wydycham powietrze i moja twarz znika w obłoczku mgły. Czuję się, jakbym miała spaloną skórę. Czuję się, jakbym ciągle obijała się o któryś z krzewów głogu — ojca i matkę, którzy się nienawidzą, Rachel, która nienawidzi mnie, i szkołę, która mnie tłamsi, jakbym była kłębem waty. I Heather.

Muszę tylko poczekać, aż przyjmie mi się nowa skóra. Pan Freeman uważa, że muszę odnaleźć swoje uczucia. Jakże mogłabym ich nie odnaleźć? Zzerają mnie żywcem, jako plaga myśli, wstydu, błędów. Mocno zaciskam powieki. Dżinsy w moim rozmiarze to dobry początek. Nie mogę przesiadywać w schowku, muszę chodzić na wszystkie lekcje. Zrobię się normalna. Zapomnę o całej reszcie.